
GDZIE TEN nacjonalizm?

EWA THOMPSON

Straszenie „renesansem nacjonalizmu”

konkuruje w Polsce

z narodowym samobiczowaniem i wykreślaniem kolejnych pozycji z listy lektur, co z zagranicy wygląda szczególnie żałośnie. Większe i mądrzejsze społeczności promują swoje kraje bez kompleksów.

W 2005 roku niemiecki koncern wydawniczy Bertelsmann w porozumieniu z kilkoma innymi przedsiębiorcami (m.in. Axel Springer, „Der Spiegel”, RTL Deutschland) zorganizował zrzutkę na sumę 36 milionów dolarów na sfinansowanie piarowej kampanii promującej niemiecką dumę. Kampanię pod hasłem „Du bist Deutschland” („Niemy to ty”) rozpoczęła w telewizji olimpijska medalistka Katarina Witt. Parominutowe spoty pokazujące celebrytów, którymi Niemcy mogą się pochwalić, zaczęły pojawiać się na dziesięciu głównych kanałach telewizyjnych. Celebryci mówili: „Motylek może być przyczyną tajfunu. Oddech może spowodować burzę. Twoje czyny też mogą przynieść wielkie rezultaty”. Jak również: „Nie pytaj, co inny dla ciebie może zrobić – ty jesteś tym innym”.

Obecnie kampania ta przekształca się w promocję dzietności, ale z początku miała na celu wzmocnienie niemieckiego poczucia własnej godności. Niemcy były wtedy w dołku ekonomicznym, bezrobocie sięgało 10 procent i w kraju królował pesymizm. Kampanię tę można uznać za początek tego świetnego odbicia się i optymizmu, którą obecnie widać w Niemczech. Niemcy są pewni siebie, dumni ze swoich osiągnięć, nonszalancy w stosunku do zbrodni przeszłości i gotowi do pouczenia innych.

Mogłoby się wydawać, że Amerykanie pozbawieni są nacjonalistycznej dumy, bo dokumenty założycielskie Stanów Zjednoczonych oparte są na poczuciu obywatelstwa raczej niż narodowości. Jest to pogląd z gruntu fałszywy. Mimo nieustannego odwoływania się do „garnka, w którym wszystko się topi i miesza” (melting pot), Ameryka jest krajem, którego narodowość (o bezsprzecznie brytyjskim podkładzie) jest eksponowana na niezliczone sposoby, od języka po kulturowy protestantyzm. Trudno znaleźć Amerykanina chętnego się swoim meksykańskim czy włoskim pochodzeniem i twierdzącego, że wprowadza w amerykańskie życie tradycje polityczne Meksyku lub katolickie zwyczaje Włoch. Badania opinii publicznej pokazują, że 79 procent Amerykanów uważa, że „dobrze jest, że amerykańskie zwyczaje i poglądy” rozprzestrzeniają się w świecie. W dniu święta narodowego 4 lipca nie tylko w Waszyngtonie, ale i w każdym zapytowanym miasteczku Stanów odbywają się parady (w których uczestniczą cztery rodzaje sił zbrojnych), będące wyrazem narodowej dumy. Ślubowanie wierności państwu amerykańskiemu (Pledge of Allegiance) ma miejsce przed każdą sesją Kongresu Stanów Zjednoczonych, jak również w szkołach, na różnych zebraniach i przy wielu innych okazjach („Ślubuję wierność fladze amerykańskiej i państwu, które ona symbolizuje. Jeden naród niepodzielny, ofiarujący wolność i sprawiedliwość wszystkim, a nad nim Bóg”). Trochę to brzmi jak „jedinaja i niedielimaja”, ale Amerykanów takie podobieństwa nie niepokoją. Trzeba podkreślić, że w szkołach państwowych można się od takiej recytacji wykręcić, jeżeli rodzice sobie tego nie życzą.

Amerykanizm i niemieckość są systematycznie promowane przez rządy i elity obu krajów. Stowarzyszenia, publikacje, instytucje piarowskie

wewnątrz i na zewnątrz kraju, stypendia dla cudzoziemców interesujących się pozytywnymi aspektami historii Niemiec i USA są na porządku dziennym. Instytuty Goethego oraz Niemieckie Instytuty Historyczne propagują raczej wizerunek Niemiec jako kraju dobrotliwego, tolerancyjnego i płodzącego wyjątkowo wysoką liczbę geniuszów niż echa poczynań Niemców w Polsce w 1939 roku czy nietolerancję religijną za rządów kanclerza Bismarcka.

Instytuty te nie tracą czasu na koncerty czy wystawy (ze względu na nikły wpływ takich imprez na opinię publiczną), zamiast tego zajmują się działalnością intelektualną korzystną dla Niemiec, tzn. ukazującą niemiecką wielkość. Mówienie zaś o wszechobecnym amerykańskim piarze byłoby powtarzaniem rzeczy oczywistych: agencja rządowa USAID prowadzi w tej dziedzinie szeroko zakrojoną działalność charytatywno-propagandową, a kibicują jej liczne organizacje pozarządowe. Należy pamiętać, że narody pierwszego świata bardzo słabo protestowały przeciwko amerykańskiej inwazji Iraku, której nie można było nijak usprawiedliwić pogonią za Al-Kaidą, bo jej wtedy w Iraku nie było. Pomimo wielu potknięć w ostatnich latach Ameryka w znacznej mierze dyktuje światu swoje poglądy. Na jej korzyść należy powiedzieć, że alternatywy amerykańskiej dominacji są bardzo nieatrakcyjne.

Promuj kraj!

W porównaniu z tymi potężnymi i agresywnymi nacjonalizmami oficjalna polska tożsamość czasów postkomunizmu wydaje się rachityczna,

nieśmiała i załężniona. Panicznie boi się szyderstwa i potulnie zgadza się na nieskuteczność. Jest wyrazem postawy „przepraszam, że żyję” raczej niż zapewnieniem, że istnieję i posiadam swoje własne interesy. Za pośrednictwem części polskich elit skwapliwie potwierdza oskarżenia o ksenofobię i brak tolerancji, które wysyła jej zagranica. Broni pomników swoich wrogów.

Jej nosiciele nie wynaleźli metod przedstawienia swoich racji. Nie potrafili wyjaśnić ani Amerykanom, ani Niemcom, w jakiej sytuacji pozostawił ich komunizm. Z mojego zagranicznego obserwatorium widzę absurdalną sytuację: duża część polskich elit, zamiast kibicować raczkującej polskiej asertywności i wzmacniać pozytywne poczucie narodowości, stara się wmówić Polakom, że świat się denacjonalizuje i że kultywowanie polskości i polskiej historii jest przeżytkiem. A jest wręcz odwrotnie: świat się nacjonalizuje, coraz to nowe narody domagają się międzynarodowej akceptacji i wciąż toczy się gra pomiędzy państwami narodowymi o dominację i neokolonie. W roku 1945 ONZ liczyła 51 członków, w roku 2011 miała ich 193.

Wydawałoby się, że elity narodów, którym historia dobrze dała w skórę, powinny wydatkować dużo wysiłku w odbudowanie dumy narodowej, ale z zagranicy wygląda to odwrotnie. Znikają ze szkół pisarze, którzy przez pokolenia uczyli Polaków polskiej tożsamości: Sienkiewicz, Słowacki, Mickiewicz. Mówi się, że „literatura jest pamięcią narodu”; w Polsce postawiono raczej na amnezję. Młodzieżowe demonstracje radości i dumy w dniu Święta Niepodległości 11 listopada napotyka przeszkody, którym władze nie zapobiegają. Obelgi prominentów w stosunku do Polaków, którzy demonstrowali swoją radość 11 listopada ubiegłego roku, wypływały z kontekstu bardzo niezyczliwego polskiej racji stanu. To samo można powiedzieć o samobiczowaniu się Polaków w literaturze i w sztuce filmowej, nagradzanym i finansowanym przez państwowe instytucje pod pretekstem, że świadczy to o polskiej dojrzałości. Przypomina to o powiedzeniu jednego z sowieckich rządców Polski, że trzeba wybić z Polaków ich dumę.

Podczas gdy potężne nacje świata zajmują się autopromocją, naród niegdyś okupowany i kolonizowany, którego tkanka społeczna została rozdarta tysiące razy, miota się w szoku samooskarżeń, wynagradzając tych, którzy te oskarżenia podchwytują, i traktując jako wrogów tych, którzy zgłaszają w stosunku do nich zastrzeżenia. Tak to, powtarzam, wygląda z zagranicy i nie budzi w nikim szacunku (bo uśmiechy dyplomatów i drobne nagrody dawane spolegliwym Polakom to nie to samo co szacunek).

Terminologia Róży Luksemburg

Co to w ogóle jest nacjonalizm? Zaczęto tego słowa używać w pierwszej połowie XIX wieku. Wkrótce podchwycili je lewicowi ideolodzy i

zrobili z niego chłopca do bicia. Ale w języku angielskim słownikowa definicja tego terminu nie zawiera negatywnych treści – świadczy o tym choćby autorytatywny słownik amerykański Webstera czy brytyjski Oxford Universal Dictionary. W Websterze kluczowe znaczenie nacjonalizmu to „miłość do swego narodu, patriotyzm”. W słowniku oksfordzkim to samo: „miłość do swego narodu”.

Uderzająco inna jest definicja Słownika wyrazów obcych wydanego w PRL w 1958 roku, czy „Małego słownika języka polskiego” z 1968 roku: „Ideologia i polityka podporządkowująca wszystko interesom własnego narodu, stawiająca interesy narodowe ponad interesy klasowe” (Słownik wyrazów obcych) oraz „kierunek światopoglądowy i polityczny żądający przywilejów dla własnego narodu, z czym wiąże się dyskryminowanie innych narodów i agresja w stosunku do nich” („Mały słownik”).

Negatywny wydźwięk „nacjonalizmu” we współczesnej polszczyźnie jest darem marksistowskich teoretyków, którzy od czasów Róży Luksemburg są wrogami narodowości. Zrównują oni nacjonalizm z ideologią, podporządkowującą wszystko interesom grupy etnicznej czy rasowej i żądającą dla niej przywilejów. Ale tego rodzaju podejście jest sprzeczne z polskim poczuciem narodowości, które w okresie międzywojennym i rozbiorowym zamykało się w wyrażeniu „Bóg, honor, ojczyzna”. Polacy nie są „nacjonalistami” w marksistowskim tego słowa znaczeniu. Duża ich część to wciąż aktywni katolicy, a katolicyzm nie uczy niszczenia innych narodów. Tak, oczywiście, każda reguła ma niestety wyjątki, ale nie można zgodzić się na to, aby wyjątki czy zgoła kryminalistykę podnoszono do roli reguły. Zbrodnie są popełniane wszędzie na świecie, ale chyba tylko w Polsce istnieje tak wiele poparcia dla poglądu, że za zbrodnie kryminalistów odpowiedzialny jest cały naród. Jest to kwestia proporcji: Polacy nie wymyślali i nie praktykowali wielostopniowego planu nękania innych, nie planowali i nie przeprowadzali totalnych i lokalnych genocydów. W Polsce rozwinęło się poczucie narodowości, a nie „fałszywa świadomość”, o której z takim zapałem plotła marksisci.

Tak więc słowniki wydane w PRL zakłámują słowo „nacjonalizm” i odstraszą Polaków od patriotyzmu. Co gorsza, lewicowi teoretycy w postkomunistycznej Polsce i w innych krajach utwierdzają i lakierują te nadziewane marksistowską ideologią definicje, demonizując nacjonalizm i patrząc z góry na ludzką normalność. Bowiem naturalnym odruchem człowieka jest łączenie się we wspólnoty – nie te wymyślone przez filozofów, jak kolchozy, komuny i związki socjalistycznych republik, lecz te, które rozwijają się powoli i budowane są na wspólnym języku i pamięci historycznej. Doskonale to opisał angielski historyk Anthony D. Smith. Szkoda, że tak wielu polskich intelektualistów dało sobie wcisnąć kit, czyli marksistowską definicję nacjonalizmu. „Nie dotykaj tego, bo się skompromitujesz!”, „Od nacjonalizmu do nazizmu jest tylko jeden krok!”

RzPostrzegam to jako dawanie ludziom fałszywego pieniądza. Chciałoby się powiedzieć: Polacy, nie dajcie się zwariować! Za ten pieniąż niczego nie można kupić.

Warto więc powrócić do nieskażonej ideologią definicji, tak aby nazwanie kogoś nacjonalistą nie obrażało, lecz definiowało. W pozostałej części artykułu będę używała tego terminu bez jego marksistowskich naleciałości.

Narodziny nowożytnych narodów

Nie jest przypadkiem, że nacjonalizm, czyli poczucie przynależności do wspólnoty językowo-historycznej i poczucie odpowiedzialności za nią, gra coraz większą rolę w historii Europy od czasów, gdy zaczęło zanikać poczucie wspólnoty religijnej, a więc od reformacji. Nacjonalizm jest produktem ubocznym likwidacji katolickiej jedności Europy. Jeżeli sekularyzacja świata będzie kontynuowana, można się spodziewać wzrostu nacjonalizmu, a nie jego zaniku. I nie jest to bynajmniej zjawisko wyłącznie negatywne.

Bowiem bez nacjonalizmu nie mogą istnieć demokracja i prawa człowieka. Konstytucje i deklaracje praw obywatelskich byłyby jedynie świstkami papieru, gdyby nie stała za nimi gotowość do ich obrony i wdrażania w życie. Religia czy lojalność w stosunku do władcy nie są już takim spoiwem w większości wspólnot. Aby społeczeństwo było gotowe bronić praw obywatelskich, musi wierzyć w historyczną ciągłość swojej wspólnoty, musi czuć się jej współtwórcą.

Wątpię, czy członkowie Unii Europejskiej gotowi byłiby oddać za nią życie (żeby nie było wątpliwości, jestem tej Unii i uczestnictwa w niej Polski zwolenniczką). Polacy niejednokrotnie mieli okazję zapoznać się z tymi realiami, że wspomnę o roku 1938, gdy angielski premier Arthur Neville Chamberlain oświadczył, że pomimo umów i deklaracji międzynarodowych Brytyjczycy nie powinni „budować okopów i nakładać masek gazowych, bo wydarzyła się jakaś kłótnia w dalekim kraju, pomiędzy ludźmi, o których niczego nie wiemy”. Wówczas chodziło o aneksję czeskich Sudetów przez Niemcy.

Oburzenie się na tego rodzaju stanowisko jest wykręcaniem się od odpowiedzialności; trzeba raczej uświadomić sobie, że tak właśnie jest i będzie w polityce międzynarodowej, i wysnuć z tego konsekwencje. Jedynymi niezawodnymi obrońcami polskich granic i interesów są Polacy, tak jak jedynymi obrońcami granic Francji są w ostatecznym rachunku Francuzi. Jestem gorącą zwolenniczką polskiego członkostwa w NATO, ale wiem również, że bez poczucia narodowości wszelkie dokumenty założycielskie takich związków nic nie byłyby warte. Reguły postępowania zadeklarowane w konstytucjach i deklaracjach są bez znaczenia, jeżeli nie ma narodów, które by je żyrowały. Żołnierze krajów narodowych nie walczą pod przymusem, jak sowieccy żołnierze, których NKWD rozstrzeliwało, jeżeli uciekali z pola bitwy. Chamberlain zwięźle i okrutnie opisał pospolite zjawisko historyczne. Tu też rozpisana jest lekcja dla tych pierwszych naiwnych, którzy wierzą, że NATO rozwiązuje wszelkie problemy. Rozwiązuje ich tylko niewielką część.

Tak, są kraje małe, które można łatwo zwyciężyć, np. Estonia. Ale aby je podbić i zniewolić, trzeba samemu ponieść straty. Mogłoby to też doprowadzić do różnych międzynarodowych komplikacji niewygodnych dla napastnika. Więc te parędziesiąt tysięcy żołnierzy, którymi dysponuje Estonia, na razie odstrasza potencjalnego agresora.

Utopie późnych marksistów

W wieku XXI silne poczucie narodowości jest elementem samooceny przynoszącym wymierne korzyści. Marksści, którzy stawiają na atomizację społeczeństwa, chcieliby, aby narodowość rozplynęła się w klasowości (marksści sowieckiego typu) lub nijakości (szkoła frankfurcka). Jest to życzenie, którego przymusowe wdrażanie wiadomo do czego doprowadziło. Dlatego odnoszę się sceptycznie do marksizujących teoretyków, takich jak wykładowca historii na uniwersytecie w Konstancji Aleida Assmann: jej recepty na pokojową Europę (gdzie narodowość nie gra roli i gdzie Niemcy odgrywają rolę nauczycieli obywatelskości) wydają mi się utopijne.

Polskie poczucie narodowości jest związane z katolicyzmem, polska pamięć historyczna zaś jest przeniknięta katolickimi symbolami. To unikalna cecha Polaków, coś, co odróżnia ich od reszty „wschodnich Europejczyków”, którzy w mniemaniu „starej Europy” mają słabo zdefiniowaną tożsamość. Aby zaistnieć w świadomości innych, takie unikatowe cechy są plusem raczej niż minusem. Zdrowy rozsądek więc podpowiada, że nie należy czuć się tym zaalarmowanym. A co z niekatolikami? Mniejszości też muszą uczyć się tolerancji. Nie można wymagać od większości, aby tolerowała mniejszość, jeżeli mniejszość nie nauczy się tolerowania większości.

Obserwując polskie debaty polityczne z zagranicy, trudno nie zauważyć, że większość już dawno zaakceptowała prawo mniejszości do istnienia na swój sposób, ale mniejszość wciąż atakuje większość za to, że owa większość nie chce zaakceptować sposobu bycia i światopoglądu mniejszości. Bez narodu zdolnego do działania na rzecz wspólnoty ci na szczycie piramidy musieliby odmaszerować gdzieś na zmywak do Londynu czy Berlina. Ministrowie i premierzy nie mogliby piastować swoich urzędów, gdyby nie istniał naród zdolny do działań na rzecz niezawisłości (jakkolwiek względnej).

To tym niedoedukowanym, ale patriotycznym masom panowie X i Y zawdzięczają swoje pozycje w świecie i swoje ładne tytuły. Dlatego jest psim obowiązkiem każdego rządu pomaganie obywatelom w budowaniu pozytywnego samowizerunku. Tak, chciałabym widzieć w polskiej prasie i telewizji Agnieszkę Radwańską mówiącą „Polska to ty”. Nie miałabym też nic przeciwko „ślubowaniu wierności państwu polskiemu” przed każdą sesją Sejmu czy z okazji uroczystości w szkołach. Akurat w tej kwestii zapożyczanie się u Niemców i Amerykanów ma sens. Σ

Rzeczpospolita, 8 listopada 2013

<http://www.rp.pl/artukul/61991,1062969-Gdzie-ten-nacjonalizm-.html>